

Wspomnienia babci Zosi

Urodziłam się w rodzinie, która znała już Prawdę, więc to, co opowiem, powinno chyba być nazwane moją drogą w Prawdzie, a nie do niej, jak określało swe wspomnienia wielu już braci i siostr w tym cyklu.

Kiedy dzisiaj wspominam, co opowiadali moi dziadkowie, to uświadamiam sobie, że początków należy poszukać w czasie, kiedy mój dziadek Sawa Kozak przebywał w niewoli austriackiej, a babcia Luba wraz z trzema synami tułała się po Rosji, do której trafiła w wyniku akcji przesiedleńczej ludności kresów wschodnich. Był to okres pierwszej wojny światowej lub krótko po niej. Uciekinierzy, zwani Bierzeńcami, byli dość dobrze traktowani przez ludność rosyjską. Babcia, będąca wątłego zdrowia, wspominała, że Rosjanie odnosili się do nich ze współczuciem, zrozumieniem i pomagali im w miarę swoich ograniczonych możliwości. Babcia Luba opowiadała mi również, że w jednym miejscu proponowano jej pewną sumę pieniędzy za pozostawienie im średniego syna Teodora, który był niebywale wesołym i zdolnym dzieckiem. Swoją propozycję argumentowano trudną sytuacją finansową rodziny oraz zapewniając o odpowiedniejszych warunkach do wychowania chłopca. Rzecz jasna, babcia nie mogła się na to zgodzić, wiedząc doskonale, że więź z matką jest dla dziecka ważniejsza niż lepsze warunki materialne.

Po jakimś czasie udało im się powrócić do rodzinnego Zamchu, gdzie spotkali się z dziadkiem Sawą. Będąc w niewoli, po raz pierwszy usłyszał o Biblii, aczkolwiek nie miał możliwości osobiście zapoznać się z jej treścią, ponieważ nikt z jeńców nie posiadał Pisma Świętego. Dziadek Sawa był wyznania prawosławnego, ale podświadomie cały czas szukał czegoś innego. Tęsknił za lepszym zrozumieniem i wiedział, że na pewno istnieje jakaś inna Prawda. Babcia była natomiast gorliwą wyznawczynią Kościoła prawosławnego, dlatego restrykcyjnie przestrzegała wszystkich zaleceń dotyczących m.in. postu.

Pewnego razu, podczas wyprawy na targ w Tarnogradzie, spotkała się z kolporterami, którzy sprzedawali broszury i głosili Ewangelię. Co ciekawe, babcia Luba, sama będąc analfaberką, nabyła kilka z nich po obniżonej cenie i przyniosła je do domu. Zainteresowała się, bo ludzie na targu mówili o jakiś książkach, a w domu byli jej kilkunastoletni już synowie, którzy umieli czytać. Wieczorami zaczęli więc czytać na głos te broszury i wszyscy się zachwycili. Dziadek stwierdził od razu, że jest to właśnie to, czego od dawna szukał. Był on pewny, że musi istnieć coś innego niż to, co słyszał w cerkwi.

Po jakimś czasie babcia ponownie udała się na targ i tym razem sama odszukała ludzi, którzy sprzedali jej literaturę. Miała wyrzuty sumienia, że utargowała cenę za tak dobre rzeczy i chciała dopłacić, ale brat Jan Gładysiek, będący jednym z kolporterów, nie chciał się zgodzić. W zamian babcia zakupiła większą niż poprzednio ilość broszur, a także swoją pierwszą Biblię, na której nauczyła się w domu czytać. Z drugiej strony bracia, widząc zainteresowanie rodziny, zaczęli odwiedzać Zamch, zresztą byli przez babcię zapraszani.

Tymczasem we wsi rozniósł się, że u Kozaków czytają coś innego. Tu właśnie należy szukać początków zboru. Rodzina Kozaków była szanowana we wsi i na początku wiele osób przychodziło z samej ciekawości; było dość duże zainteresowanie, ale u większości nie na długo. Najpierw spotkania miały charakter spontaniczny, z czasem stały się bardziej regularne, chociaż nadal nabożeństwa nie miały ściśle ustalonego porządku. Czytano razem Biblię, ktoś nauczył pozostałych paru pieśni, a czasem przyjechał jakiś gość. Pamiętam, że bywali w Zamchu bracia Jan Gładysiek, Czesław Kasprzykowski, Aleksander Kręt, Walenty Wojtkowski oraz Jan Gumieła. Przyjeżdżał też brat August Stahn. Pomogli oni w lepszej organizacji spotkań braterskich poprzez pomocne rady zaczerpnięte z „Wykładów Pisma Świętego”. Mniej więcej w tym czasie na zebrania zaczęły przychodzić Roman Kopak, zachęcany przez brata Suma, który później wyjechał z rodziną do Kanady (całą historię dojścia do Prawdy brata Romana można przeczytać w czasopiśmie „Na Straży” 86/4). Nabożeństwa odbywały się nie tylko u nas, spotykaliśmy się również w domach innych braci (m.in. u Czyraków czy Pietrusów), u Kozaków w Babicach i u Wnuków w Różańcu). Spowodowane to było nie tyle względami bezpieczeństwa, co poczuciem sprawiedliwości i pośrednio dbałością o wygodę braci. Zbierało się nas ponad dwadzieścia osób, dlatego nie wszyscy mogli dostąpić tego przywileju goszczenia pozostałych braci ze względu na ograniczone warunki mieszkaniowe i obecność małych dzieci w rodzinie. W tym czasie starszymi byli: Roman Kopak, Stefan Woźniak, Roman Czyrak i Mikołaj Pietrus.

Mieszkańcy Zamchu nie odnosili się do nas z wrogością, nie zazналиśmy prześladowań czy nieprzyjemności z ich strony. Odnosili się do nas z lekką pogardą, kąpiąc, że u Kozaków wymyślili sobie coś nowego. Nie wiem, czy można określić to w ten sposób, ale odniosłam wrażenie, że nieco zazdrościli nam odwiedzin innych braci oraz tego, że wiemy i rozumiemy coś więcej. Niektórzy zainteresowani przychodzili, chcąc się czegoś dowiedzieć, ale z reguły po uczestnictwie w jednym ze-



braniu wracali do swoich codziennych zajęć, szybko o nim zapominając.

W tamtym czasie organizowane były już konwencje, najbliższej nas odbywały się w Oleszycach. Z czasem również zaczęliśmy zapraszać braci do Zamchu. Przyjeżdżała do nas pewna liczba osób, a ze starszych usługujących zapamiętałam jedynie brata Gumiele. Był on naprawdę wyjątkowo ciepłym człowiekiem, umiał porozmawiać zarówno ze starszymi, jak i z młodszymi. Interesował się tym, jak żyją bracia, zawsze służył radą i cieszył się autorytetem wśród braci, chociaż był naówczas w dość młodym wieku. Pamiętam, jak mama poleciła mi nauczyć się wiersza, aby mieć swoją część na konwencji. Kiedy go powiedziałam, brat Gumiele pochwalił mnie za to.

Michał Kozak (mój tata) ożenił się w 1935 roku, mama Bronisława była katoliczką (przed zamążpójściem) i pochodziła z Hamerni (była córką Andrzeja Olszewskiego). Moi rodzice pobierali się już w Prawdzie. Z braci taty ożenił się tylko Teodor, ale nie został wśród Badaczy, ponieważ na skutek jednego z rozłamów w naszej społeczności poszedł do Epifanii. Natomiast drugi z braci, Mikołaj, zmarł na zapalenie płuc w dość młodym wieku. Zarówno dziadkowie, jak i rodzice mieszkali razem w jednym gospodarstwie. Teodor po ślubie wprowadził się do Opszy – sąsiedniej wioski.

W czasie wojny konwencje nie były organizowane, ale dalej zbieraliśmy się na nabożeństwa po domach.

Niedługo po wojnie coraz silniejszy stał się trend, aby wyjeżdżać do Rosji. Lokalne władze prowadziły agitację na szeroką skalę, zachęcając okoliczną ludność. Zjawisko to można było zaobserwować również wśród braci; dały się namówić chociażby rodziny Wróblów i Pacygonów. Panował pogląd, że właśnie w Rosji zaczyna się już Królestwo Boże. Mój tata długo zwlekał z podjęciem decyzji o wyjeździe, chciał poczekać na dalszy rozwój wypadków. Wielu spośród naszych sąsiadów i pozostałych mieszkańców również nie było do końca przekonanych co do słuszności opuszczania swoich domów. Nie byli zdecydowani, czy na pewno tego chcą, w przeciwieństwie do Wróblów, którzy zgodnie chcieli jechać. Często do nich przychodziłam i bawiłam się z ich dziećmi, dlatego znaliśmy się dość dobrze. Patrzyłam z podziwem na ich pewność i zorganizowanie. Podczas gdy mój dziadek nie chciał opuścić swoich pszczoł w pasiekach, a tata nadal grał na zwłokę, oni skrupulatnie pakowali cały swój dobytek na wóz. Idąc za ich przykładem, wzięłam chustkę i spakowałam do niej parę swoich rzeczy, w tym kawałek chleba, który udało mi się w domu znaleźć i przyszedłam do Wróblów, aby jechać z nimi. Najbardziej ucieszyło to ich dzieci, które głośno wyrażały swoje zadowolenie i pochwalały moją decyzję. Zachęcona ich entuzjazmem, usadowiłam się między nimi na wozie, gotowa do wyjazdu. Nie-

bawem jednak nadszedł Matwój Wróbel – głowa rodziny i po przeliczeniu osób na wozie wyszło mu o jedną za dużo. Szybko zorientował się, że jedno z dzieci nie jest jego. Pomimo protestów swoich córek, Wiery i Nastki, kategorycznie nakazał mi czym prędzej wrócić do domu.

Po pewnym czasie okazało się jednak, że ogólnie panujące oczekiwania związane z wyjazdem do Rosji nie sprawdziły się w dużej mierze. Niektórym udało się na krótko powrócić. Pamiętam brata o nazwisku Hołojuch, który chciał ożenić się z Hanką Wróbel. Jego rodzina była temu przeciwna ze względu na jej religię, on jednak potajemnie wyjechał razem z Wróblami. Po jakimś czasie, kiedy spotkaliśmy się w Zamchu, opowiadał, że warunki panujące w Rosji były tak trudne, iż nie sposób je sobie nawet sobie wyobrazić. Niestety, dla większości nie było już powrotu. Później z mężem, Dymitem, odwiedziliśmy czasami Hołojuchów, którzy zamieszkali w okolicach Łucka. Cena, jaką zapłacili wyjeżdżający dobrowolnie, była najwyższa, ponieważ wielu z nich odeszło od Prawdy i społeczności.

W roku 1947 przyszła jednak kolej na nas. Nikt nie pytał nas o zdanie; w ramach akcji „Wisła” zaczęły się deportacje ludności na zachód i na tereny dawnych Prus Wschodnich. Rodziny z Różańca, czyli brata Adama Kozaka i siostry Olgi Wnuk (później Gumiele), udały się w okolice Olsztyna, a pozostałe pięć rodzin z Zamchu, tzn. Kopakowie, Kozakowie, braterstwo Czyrak, Łotysz i Pietrus, zostało skierowanych na odzyskane ziemie zachodnie, i tak znaleźliśmy się wszyscy w Lipiu.

Miałam wtedy jakieś dziesięć lat i pamiętam Lipie jako dosyć specyficzny okres w swoim życiu. Najpierw zamieszkaliśmy wszyscy w tzw. Majątku, a że był to akurat koniec lata, od razu wzięliśmy się do pracy i organizacji życia w nowym miejscu. Uchodząca śpiesznie ludność niemiecka pozostawiła na polach większość plonów, więc mieliśmy jedzenia pod dostatkiem. W dodatku otrzymaliśmy również pomoc z UNRY w postaci bardziej trwałych produktów spożywczych, np. konserw. W znacznej mierze przyczyniło się to do możliwości urządzenia pierwszej konwencji w Lipiu, na święta grudniowe tego samego roku. W majątku była sala bankietowa i równie duże zaplecze kuchenne. Kiedy wieść o tym planowanym wydarzeniu rozeszła się wśród braci, wywołała dość spore poruszenie, wręcz niedowierzanie. Pamiętam, że przyjechał do nas brat Gumiele, na długo przed dniem rozpoczęcia konwencji, aby naocznie stwierdzić, czy mamy odpowiednie warunki, bo przecież wyjeżdżaliśmy zaledwie parę miesięcy wcześniej ze skromnym dobytkiem. Wspomniana „inspekcja” przebiegła pomyślnie, konwencja się odbyła, a nawet pokazaliśmy na niej „Fotodramę”.

Miejscowa ludność w zasadzie nam sprzyjała, jednak nie od samego początku, bowiem gdy przyjechalismy,



a była nas dość spora grupa, dało się odczuć, iż nieco się nas obawiają. Przejawiało się to m.in. w tym, jak wspomina siostra Hanka Zińska, że wystawiane były conocne warty na wypadek domniemanego ataku z - naszej strony. Później jednak ludzie przekonali się, że mówimy po polsku, tak samo jak oni i jesteśmy przyjacielsko ustosunkowani.

Po pewnym czasie prowadzenia wspólnej gospodarki postanowiliśmy jednak, że lepiej będzie, gdy każda rodzina poszuka sobie osobnego domu. Nie było to trudne, ponieważ sporo pustostanów nadal czekało na nowych lokatorów. Część z rodzin znalazła nowe domy w Rąbinie, wiosce nieopodal. Podczas jednego z większych zebrań w Rąbinie, w grudniu, w wieku 18 lat, razem z Ewą Kopak, przyjąłem symbol chrztu.

Z czasem dzieci dorastały i musiały szukać szkoły lub pracy poza Lipiem. Pierwszy wyruszył do Białogardu Dymitr Kopak i został czeladnikiem fotografa. Po nim byli następni. Z biegiem lat również i dziadkowie zostawili Lipie i tak cały zbór przeniósł się do Białogardu, chociaż zanim dzieci Kopaków skończyły naukę, zebrania wciąż odbywały się w Lipiu. Dziadkowie także musieli przeprowadzić się do Białogardu, ponieważ nie mogli już sami prowadzić gospodarstwa. W Białogardzie życie zboru na początku koncentrowało się wokół naszego zakładu fotograficznego, gdzie panowały ciężkie warunki, gdyż było bardzo ciasno – jednocześnie było to miejsce pracy, sala zgromadzeń i pomieszczenie mieszkalne. Mniej więcej w latach 60. cały zbór znajdował się już w Białogardzie. Nabożeństwa odbywały się w kuchni, gdzie stawiano stołki i ławki, zajmowano nawet miejsca na szafkach i stole oraz w małym pokoju za kuchnią. W przerwach nie było możliwości należycie wypocząć ze względu na panujący wszędzie ścisk.

Pamiętam również, że odwiedzało nas wielu gości: z - Dalecina, ze Szczecinka, z Borzysławia oraz z Kalisza Pomorskiego. Dzisiaj nie ma już żadnych braci w tych miejscowościach. Przez jakiś czas nabożeństwa odbywały się też u braterstwa Lipianinów przy ulicy Mickiewicza. Zebrania dla młodzieży białogardzkiej odbywały się przed zebraniem dla wszystkich. Doświadczając tych trudnych warunków, zaczęliśmy szukać miejsca na salę zboru. Wkrótce okazało się, że udało się kupić niedokończoną budowę przy ulicy Sobieskiego 14. Było tam dość miejsca na salę i mieszkania dla nas i braterstwa Lipianinów. Kiedy się tam przenieśliśmy, był rok 1972; wiem, że Paweł Lipianin miał wtedy roczek i właśnie zaczął chodzić.

Szczególnie w okresie letnim mieliśmy przywilej przyjmować gości z dalszych stron, bo przyjeżdżali zobaczyć morze. Pamiętam Sablików, Grudniów, Rozwarskich, Gowdów, Kaletów, Szegidewiczów, nawet Merskich z Australii, którzy dali nam pierwsze wskazówki i porady, jak efektywnie prowadzić własną działalność gospodarczą i właściwie zadbać o klienta. Chociaż naszym życzeniem było jak najlepsze przyjęcie gości, w tamtych czasach trudno było o dostanie czegośkolwiek do jedzenia. Nie zapomnę sytuacji, jak raz stałam w kolejce po chleb i było bardzo dużo ludzi. Nie mogłam dotrzeć do lady, więc przekazałam odliczone pieniądze, lecz tak niefortunnie chwyciłam podany mi chleb, że wypadł mi z rąk i został podeptany przez ludzi. Wysłałam z piekarni ze ściśniętym sercem... Nagminne było też zakręcanie wody na noc. Pamiętam, jak pewnego razu niespodziewanie wieczorem przyjechali do nas braterstwo, a ja zużyłam wcześniej całą wodę, nawet tę z czajnika, bo umyłam w niej szklanki. Dymitr pokwapił się do kilku miejsc w mieście, ale bezskutecznie, nigdzie nic nie było. Czułam się bardzo niezręcznie, bo nie mogłam poczęstować gości po podróży nawet herbatą. Od tamtej pory mam dziwny nawyk napełniania wieczorem całego czajnika i zagotowania wody.

Po śmierci wujka Woziwody, w Lipiu zostali już tylko Roman i Julia Kopakowie, więc i oni wkrótce do nas dołączyli i zamieszkaliśmy wspólnie. Obiady w zborze gotowaliśmy zawsze, praktycznie od początku, na zmiany, bo zawsze po zebraniu zostawał ktoś, kto musiał czekać na autobus lub pociąg, więc wszyscy razem jedliśmy posiłki, przy których można było porozmawiać i po prostu wspólnie pobyć. Ten dobry zwyczaj nie zmienił się do dzisiaj, chociaż skład zboru jest już zupełnie inny.

Jestem bardzo wdzięczna Panu Bogu za przeżyte dobre lata, za społeczność braterską i różne doświadczenia, które w życiu przechodziliśmy. Wszystko to upewnia mnie, jak prawdziwe są słowa Pana Jezusa zanotowane przez ewangelistę św. Mateusza w rozdziale 19 i 29 wersetach: „A każdy, kto by opuścił domy albo braci, albo siostry, albo ojca, albo żonę, albo dzieci, albo rolę, dla imienia mego, stokroć więcej weźmie, i żywot wieczny odziedziczy”.

Redakcja
R-
„Straż”

Wspomnienia siostry Zofii Kopak ze zboru w Białogardzie,
na postać cyfrową pomogły zamienić wnuki.